

„Pan zawsze!” – Bogusław Beszlej, muzyk i fotograf w rozmowie z Izabellą Starzec



Izabella Starzec: Kiedy po raz pierwszy wziąłeś do rąk aparat fotograficzny?

– **Bogusław Beszlej:** Dwadzieścia lat temu, gdy zacząłem uwieczniać koncerty.

Jak to? Dopiero wtedy?

– Myślałem o świadomie i zawodowo utrwalanej pracy muzyków. Natomiast oczywiście, że ten kontakt z aparatem fotograficznym miałem znacznie wcześniej. Gdy byłem sześciolatkiem, mój tato angażował mnie do pomocy przy powiększalniku i wyjmowaniu zdjęcia z utrwalacza, które miałem wrzucać do wanny do płukania.

A potem?

– W latach 70-tych pracowałem w Spółdzielni Pracy „Fotografika” – tam nauczyłem się rzemiosła fotograficznego. Dostawałem wtedy zlecenia na reportaże rodzinne: chrzciny, wesela i inne okolicznościowe. Nawet zdarzyło się uwiecznić pogrzeb jakiejś funkcyjnej osobistości PZPR z Wrocławia – Krzyków. Zabawne było to, że ludzie idący w kondukcje nie rozmawiali o człowieku, tylko o tym, kto przejmie po nim schedę. Na zdjęciach zachowały się więc inne emocje – żałobnicy wyglądali, jakby szli w pochodzie Pierwszomajowym, a nie w związku z pogrzebem.

Robiłem też zdjęcia ze ślubu – dla przykładu jakiegoś radzieckiego generała z kierowniczką sklepu spożywczego. Stał przy mnie żołnierz, który liczył, ile klatek zrobiłem, ile rolek filmów zużyłem. W zasadzie towarzyszył mi cały czas aż do momentu, gdy oddałem zdjęcia.

To znaczy, był też z Tobą w ciemni?

– Tak, nawet tam. Dodam, że był to chyba najlepiej płatny reportaż w mojej pracy fotografa

w „dziale usług”, ponieważ dodatkowo kupili wszystkie negatywy i była to praca ekspresowa.

Na jakim sprzęcie wtedy pracowałeś?

– To był jeden z najlepszych aparatów na świecie *Hasselblad*, który – co warto przypomnieć – był też na Księżycu podczas wyprawy astronautów. Powiększalnik był marki Durst. To były prawdziwe mercedesy wśród ówczesnego sprzętu.

Gdy poznaliśmy się na studiach, to miałeś wtedy swoją pracownię fotograficzną.

– Tak, prowadziłem taką działalność zryczałtowaną. U progu lat 80-tych robiłem dużo zdjęć w klubie jazzowym Rura, realizowałem im też projekty na różne plakietki przypinane do odzieży. To była wtedy podstawa mojego bytu, bo na usługach średnio zarabiałem. Niestety, pewnego dnia przyszło oberwanie chmury i zalało całą pracownię, która była w pomieszczeniu piwnicznym. Wtedy skończyła się moja działalność fotograficzna. Wszystko zostało zniszczone – sprzęt, negatywy.

Były zatem studia na Wydziale Wokalno-Aktorskim, praca artysty, chórzysty i animatora różnych projektów, by znaleźć się w końcu w zespole dawniejszej Filharmonii Wrocławskiej, obecnie NFM, i w biurze Międzynarodowego Festiwalu Wratislavia Cantans. Jak rozumiem, to był właśnie ten początek drogi nad artystyczną fotografią?

– To prawda, ale najpierw zetknąłem się w archiwum z fotografiami **Adama Hawaleja**. Dla mnie był prawdziwym mistrzem w tworzeniu reportażu muzycznego. Podglądałem go podczas koncertów Wratislavia Cantans. On nie stał w jednym miejscu, nie miał – jak to mówimy – swojej miejscówki, tylko przemierzał kilometry. Zacząłem go naśladować, ponieważ był w tym głęboki sens, co pokazywały jego fotografie. Z nich można było wyczytać emocje, a nawet typ utworów, form muzycznych. W zależności od tego, jak koncert emocjonalnie przebiegał – tak układały się zdjęcia Adama.

Czy artysta jest w stanie zepsuć ujęcie?

– Oczywiście, złośliwie zawsze to można zrobić. Jednak unikałem takich sytuacji i – podobnie jak Adam Hawalej – unikałem grymasów. Nawet jeśli została zrobiona taka fotografia, to nikt jej później nie widział. Artyści generalnie nie lubią aparatów fotograficznych, ale gdy nie wiedzą, że robi im się zdjęcia to wtedy są one najlepsze.

Miałem takie miejsce w starej Filharmonii przy Piłsudskiego, przy górnych drzwiach prowadzących na scenę. Uchylałem je nieco i przez szparę fotografowałem. Właśnie z tego miejsca wychodziły moje najlepsze zdjęcia dyrygentów.

A w Narodowym Forum Muzyki?

– Tu lubiłem przychodzić na próby. Muzycy już mnie tak znali, że nie krępowali się mojej obecności, wręcz po chwili jej nie zauważali. Mieli też do mnie zaufanie, bo wiedzieli, że nie robię karykatur i nikt z tych zdjęć nie będzie się później natrzasał.

To chyba stosunkowo proste – zrobić komuś krzywdę zdjęciem?

– Oczywiście! Tak samo, jak i słowem. Taki niekorzystny wizerunek koduje się w głowach odbiorców, obraz się wykrzywia i deformuje.

Ile lat musiało minąć, byś poczuł się pewnie z fotografią muzyczną?

– Myślę, że trzy, cztery lata na pewno. Wtedy przestałem się obawiać porównań z Adamem Hawalejem, byłem pewniejszy siebie i swoich umiejętności. Pomógł mi w tym również syn Adasia Rajczyby, też fotograf, który mi mówił: „**Boguś, ty robisz fotografie, jakbyś opowiadał historię o koncercie**”. Bardzo to mnie wspierało.

Bo to były takie historie. Robiłem zdjęcia poszczególnych sekcji muzyków, a pomiędzy nie układałem fotografie dyrygentów, które wcześniej lub później do danej sytuacji muzycznej

zrobiłem w jakiejś serii. Miałem do dyspozycji pełen wachlarz emocji dyrygentów. Te zdjęcia odpowiednio ułożone tworzyły właśnie takie opowiadanie.



Jacek Kaspszyk, fot. Bogusław Beszlej

Chciałeś pokazywać też warsztat dyrygentów?

– Naturalnie, to jest bardzo interesujące, czy dłonie są jak zwiędłe liście, czy też inaczej się układają. To są różne detale, a do tego też różne miny, które malują się na ich twarzach. Bardzo ekspresyjny jest na przykład Jacek Kaspszyk. Miałem czasami wrażenie, że nawet wpadał w jakiś trans!

Czy te zdjęcia nadawały się do upublicznienia?

– Jak najbardziej. Zawsze pytałem Kaspszyka, czy mogę robić zdjęcia – odpowiadał: „**Pan zawsze!**”. Wiedział, że nie zrobię mu krzywdy.

Wszyscy byli otwarci do współpracy?

– Niekoniecznie. Zresztą ja sam unikałem sytuacji debiutanckich. Jeśli był ktoś jeszcze niedoświadczony i, co naturalne, mocno podenerwowany, to wtedy nie fotografowałem, by nie rozpraszać i nie przeszkadzać w czasie gry. Chodziło przede wszystkim o komfort muzyka.

Czy są tacy, którzy mimowolnie pozują?

– Zdarza się, ale **wtedy to jest koniec zdjęć**. Czasami artyści potrzebują przed upublicznieniem fotografii czegoś w rodzaju autoryzacji. Tak miałem z jedną instrumentalistką z zespołu Il Giardino Armonico. Więc słałem zdjęcia i do menedżera, i do samego dyrygenta, **Giovanniego Antoniego**. Za którymś razem Antonini bezpośrednio napisał do mnie, że zdjęcia mojego autorstwa można publikować bez żadnej konsultacji.



Giovanni Antonini, fot. Bogusław Beszlej

To wyraz wielkiego zaufania.

– Czułem się też zaszczycony, gdy wybrał właśnie moje zdjęcia na okładkę swojej płyty – czyli konkretnie zamówił je właśnie u mnie. Wtedy przebywałem z Il Giardino Armonico od rana do wieczora, oni się do mnie przyzwyczajali i widać było, że im nie przeszkadzam. Tak jakbym był jednym z nich.

Czy zdarzyły Ci się jakieś niemiłe sytuacje, czy też incydenty?

– Owszem, zdarzyło się. Pewien muzyk – smyczkowiec – zaprotestował, bo uważał, że zawsze mu robię zdjęcia, gdy gra w pierwszej pozycji [najłatwiejsza – przyp. red]. No to od tamtej pory nie robiłem już więcej zdjęć tej osobie. W zasadzie to tylko muzyk grający na danym instrumencie jest w stanie wyłapać takie szczegóły. Niemniej, skoro nie chciał, to jak najbardziej trzeba było się temu podporządkować. Nic na siłę.

Gdy przymierzałeś się do fotografii twarzy, lub grupki twarzy, to czego poszukiwałeś?

– Zawsze tego momentu kulminacji. Staralem się wtedy uchwycić te emocje. W końcu też jestem muzykiem. Wyczuwałem metrum i starałem się robić zdjęcia „na raz”.

Łączenie świadomości i wykształcenia muzycznego w tego rodzaju fotografii wydaje się być niezbędne.

– Tak mi się wydaje. Kiedyś zapytał mnie jeden z fotografów współpracujących z NFM, jak to robię, że mam tzw. timing (to jest określenie tych, którzy nie mają wiedzy muzycznej). Odpowiedziałem wtedy, że to nie jest timing, tylko studiowanie utworów i staranie się uchwycenia tych kluczowych momentów w dziele muzycznym. Porównam to do zdjęć baletowych. Tam też są kulminacje i nie robi się zdjęć, gdy artysta już opada na scenę, tylko w momencie wyskoku, w momencie najwyższym danej figury.

Co z kolei starałeś się pokazać przy planach ogólnych?

– Wtedy przeważnie chwytalem sytuacje, w których grali wszyscy, czyli tutti, bym nie miał pustych miejsc. Oczywiście to nie zawsze jest możliwe, ale na ogół w każdej kulminacji dzieła gra cały zespół. Jeśli natomiast nie byłem pewien utworu, z racji na przykład jego prawykonania, wtedy

chodzę na próby, słuchałem i tylko przymierzałem się z aparatem, by wiedzieć, w których momentach warto zrobić zdjęcia.

Mimo przygotowania się, co mogło Cię zaskoczyć?

– Zawsze jedno – oświetlenie.

W starej Filharmonii było okropne oświetlenie. Bardzo zimne, tępe, a twarze wychodziły bardzo ziemiście. Jak w takich warunkach można było dobrze sfotografować koncert?

– No nie można. Błagałem wręcz, by zmienić temperaturę barwową, ale niestety nie kupowali tych żarówek, które mogły dodać ciepła. Stąd na tamtych zdjęciach często pojawiały się sine, marmurkowe twarze. Czasem pytali mnie, czy jest dobre oświetlenie, to wtedy odpowiadałem, że brakuje mi np. na wiolonczelach, co poprawiali w przerwie.

Najgorsze jednak w mojej praktyce zawodowej wychodziły zdjęcia z Oratorium Marianum.

Naprawdę?

– Tak, tam jest niedobre oświetlenie. W efekcie wszystko wychodzi na żółto – co jest naprawdę koszmarnie, a gdyby chcieć zlikwidować żółć, to twarze zrobią się różowe. Kiedyś nie skończyłem reportażu, ponieważ wszystko wychodziło takie zardzewiałe. Mimo, że to był jakiś ważny koncert, odmówiłem publikowania zdjęć. Co innego, gdybym od początku założył, że robię czarno-białą fotografię – można byłoby z tego jakoś wybrnąć.

Wiedząc już potem, że bywa z tym oświetleniem różnie, nie mogłeś od razu uzgodnić z artystami, że będziesz robił zdjęcia czarno-białe?

– Na ogół muzycy chcą mieć fotografie w kolorze. Ale gdy odbywały się koncerty Wratysłavii Cantans, to takich problemów nie było, ponieważ za oświetlenie odpowiadała wyspecjalizowana firma, która wiedziała, jak to zrobić, by temperatura barwowa zbliżała się do światła dziennego.

W Narodowym Forum Muzyki są też pełne możliwości. Pewnie zyskały na tym zdjęcia?

– Niekiedy tak, ale czasami nie.

Jak to rozumieć?

– Gdy był mniej ważny koncert, bez wielkich gwiazd, to oświetlenie często było takie, jak na próbie. Gorzej jednak bywało, gdy z oświetleniem eksperymentowano, jak bywało przy jakichś imprezach okolicznościowych. Czasem łączono światło czerwone z niebieskim, co wyglądało wręcz dyskotekowo i bardzo niedobrze w kadrze.

A jak było przy koncertach jazzowych? Tam jest dość duża dowolność oświetlenia, a poza tym często na scenie panuje taki nastrojowy półmrok – co wtedy?

– Wtedy się robi grymasy i kulminacje. Gdy muzyk zbliża się do takiego punktu w utworze, czy improwizacji, to wtedy wychodzą najlepsze zdjęcia.

Jakie zdjęcia utkwily w Twojej pamięci, jako te wyjątkowe?

– Kiedy byłem pozytywnie nastawiony do utworów, a muzyka barokowa jest takim moim oczkiem w głowie, to właśnie z takich koncertów zdjęcia wychodziły najlepsze. W tym przede wszystkim z Giovannim Antoninim.

Porozmawiajmy też o artystach drugiego planu. Nie solistach, dyrygentach, tylko muzykach orkiestrowych siedzących w dalszych pulpitych. Też ich uwieczniałeś?

– Oczywiście, potem z takiego reportażu wychodziło na czysto z 60-80 zdjęć, a bywało, że i ponad setka. Kiedyś sobie obiecałem, że nie będzie ani jednego muzyka w orkiestrze, który by potem powiedział, że nie zrobiłem mu zdjęcia.

Czy mniej więcej wiesz, ile zdjęć zrobiłeś podczas koncertów?

– O rety! To już chyba w setkach tysięcy można by liczyć. Ja tylko zbieram dyski o dużej pojemności, które są po brzegi wypełnione zdjęciami. W sumie może być tego 12 do 15 terabajtów.

Na swojej wymarzonej wystawie jubileuszowej w związku z Twoimi 70. urodzinami, która odbędzie się w Klubie Muzyki i Literatury, wyeksponujesz zaledwie kilkadziesiąt fotografii. Jak to zrobić, by jednocześnie powiedzieć coś o sobie, artystach, koncertach, nastroju i wielu innych elementach, które kryją się w Twoich zdjęciach? To musiał być trudny proces w tej selekcji z potężnego zbioru.

– Jest niemożliwością spośród tylu zdjęć wybrać te najlepsze, jedyne. Ograniczeniem jest powierzchnia wystawowa, a po wtóre – wybór konkretnych osób. Dołączyłem do tego zbioru także postaci „niewykonawcze”, czyli fantastycznych krytyków muzycznych – Ewę **Kofin** i **Kazimierza Kościukiewicza**, który dla mnie byli zawsze integralną częścią życia muzycznego Wrocławia. Dla mnie to są bardzo bliskie osoby. Może nie każde zdjęcie na wystawie będzie opowiadało jakąś historię, ale w wypadku tych dwóch osób tak.



Kazimierz Kościukiewicz, fot. Bogusław Beszlej

To w końcu, czym się kierowałeś w wyborze?

– Trudne pytanie...

To może niech każdy odpowie sobie sam, obejrzawszy te prace? Dodajmy, że od zamkniętego wernisażu 15.11.23 o g. 18.00 Twoje fotografie będą eksponowane w Klubie Muzyki i Literatury do 15.01.24, kiedy odbędzie się finisaż.

– Z pewnością nie jest to wystawa będąca świadectwem mojego dorobku, czy jakimś uśrednieniem. Są to przede wszystkim, poza nielicznymi wyjątkami, zdjęcia z koncertów i wydarzeń muzycznych. Chciałem też uhonorować **Wacława Chojnowskiego**, który wiele lat przepracował jako techniczny w filharmonii i stąd jego zdjęcie na wystawie.

Taka postać, jak pani Basia od kwiatów!

– No właśnie. Trudno było przypisać Wacka do jednego zajęcia. **Był taką prawą ręką dla muzyków i dyrygentów.** Rozstawiał pulpity, zmieniał ustawienie instrumentów, **kładł nuty i nigdy się przy tym nie pomylił**, co gdzie ma leżeć. No i ta jego stukająca noga w posadzkę sceny w starej Filharmonii, gdy dawał sygnał do opuszczenia zapadni na fortepian [śmiech].



Radosław Pujanek, Wacław Chojnowski, fot. Bogusław Beszlej

Z tego, co wiem, unikałeś też zdjęć takich po trosze prywatnych, czyli ujęć muzyków uchwyconych niekoniecznie w artystycznej ekstazie. Dlaczego?

– Pomyślałem, że to nie uchodzi pokazywać zdjęcie artysty, który się śmieje. Nie znany jest przecież powód, kontekst sytuacji. Tego nie wolno robić.

Co Ci dał ten rodzaj fotografii obcującej z muzyką i z muzykami?

– Powiększyło mi się grono przyjaciół. Mam też ogromną satysfakcję z tego, co robiłem. Gdy czasami zaglądam do NFM bywa, że ktoś mnie zagadnie i powie, że takich zdjęć, jakie ja robiłem nikt nie robi. Zdaję sobie sprawę, że to może być wyłącznie kurtuazja i chęć polectania mojego

ego, ale **to naprawdę brzmi szczerze i prawdziwie.**

Przy tej okazji chciałbym serdecznie podziękować dyrektorowi Narodowego Forum Muzyki **Andrzejowi Kosendiakowi** za wyrażenie zgody na udostępnienie zdjęć z zasobów NFM na użytek tej wystawy oraz **Ryszardowi Sławczyńskiemu**, dyrektorowi Klubu Muzyki i Literatury za życzliwość i ogromne wsparcie przy organizacji tej wystawy w szacownych murach Klubu.

A ja Ci życzę z okazji urodzin wszystkiego najlepszego i dużo, dużo zdrowia!

– Dziękuję, Izo.



Andrzej Kosendiak, fot. Bogusław Beszlej